

Wychodzą we *Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
tę*. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr.—
półroczna 3 Złr.—kwar-
talna 1 Złr. 30 kr.—
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
cztowa rocznie 8 Złr.—
półrocznie 4 Złr.—kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pis-
mem petyt w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp, po 1 1/2 kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. Kallenbacha

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

VIII.

I tak Kamil został u ojca.

Z początku było mu bardzo tęskno i nudno. Przy-
zwyczajony do miasta, do xiążek, do pracy, do zajmują-
cych z przyjaciółmi pogadanek, znalazł on wieś dziwnie
pustą i jednostajną. Rozmowa z ojcem, po wygadaniu
wszystkich szczegółów ostatniego wypadku, wyczerpała się
prędko; Szlyk, bębniąc ustawicznie na jeden ton i zupeł-
nie do siebie podobne rzeczy, znudził za kilka dni podno-
szącego się nad poziomy młodzieńca. Xiądz Augustyn,
który słynął na całą okolicę nauką, rozsądkiem i doświad-
czeniem, raz tylko dom pana Bonawentury odwiedził i w
zamierzoną podróż odjechał; z sąsiedztwa nikt jakoś nie-
przyjeżdżał, a nad to wszystko jeszcze i żadnej xiążki w
całym domu nie było. I coraz tęskniej było Kamilowi za
miastem.

Nie pozostało mu więc nic, jak oddać się staremu wach-
mistrzowi pod opiekę, i dać sobie pokazywać owe oso-
bliwości tej górskiej krainy, które podług niego miały być
mądrzejsze nad wszelkie xięgi. I poczęły się zaraz dale-
kie wędrowki pomiędzy lasy, góry i nieprzebyte ostępy.
Po tych wędrowkach Kamil się nie spodziewał ni-
czego nadzwyczajnego, i chodził zrazu jak ślepy, na wierz-
chołkach gór niebotycznych wzrok zatapiając w wnątrz sie-
bie, i marząc po dawnemu o ulubionych swych mrzonkach
i powiedłych nadziejach. Stary Szlyk zdziwił się tej obo-
jętności młodzieńca na piękność natury, i tłumaczył mu
coraz dobitniej swoje o tych rzeczach pojęcia, ale to nic
nie pomogło. Kamil uśmiechnął się dobrodusznie nad pró-
żnemi wysileniami starca, a Szlyk machnął ręką na obo-
jętność młodzieńca. Tymczasem obadwa tu ani siebie sa-
mych, ani siebie nawzajem nie rozumieli, — aż nakoniec
stary wachmistrz się znudził, zostawił raz Kamila zamy-
ślonego pod drzewem i dał słowo honoru, że już go nigdy
nigdzie nie poprowadzi.

Ale pomimo to Kamil nie zaniechał swoich wędrowek,
i pomału tak przywykł do nich, że już mu z trudnością
przychodziło usiedzieć w domu. Zdawało się, jak gdyby
go coś tam ciągnęło. Młody filozof, nauczony nietylko my-

śleć, ale i badać swoje własne uczucia i myśli, zastanowił
się nad tem i myślał mozolnie i długo, ale napróżno; —
przyczyny bowiem tego pociągu, który go bez ustanku wy-
zywał z domu, pędził w lasy dalekie, stawiał na szczy-
tach gór wyniosłych lub w obliczu skał olbrzymich, dzi-
kiem obrzuconych bluszczami, nie mógł on odkryć za po-
mocą żadnego rozumowania. A czemu nie odgadł jej ser-
cem? — niestety! serce to młode było już tak zawczasu
opanowane rozumem, tak silną wolą ubezwładnione, że
mleczkało jak glaz zakłęty, i nie śmiało ani jednego dźwię-
ku wydać ze siebie.

Niemogąc więc za pomocą badania przyjść do rozwią-
zania zagadki, a nienawidząc z natury zagadek, zaczął się
z przytomnością rospatrywać w tem wszystkim, co go tak
pociągało do siebie. I wszedłszy w tym celu na górę naj-
wyższą, pierś jego, orzeźwiona surowem powietrzem, roz-
szerzyła się i roskrepowała cokolwiek serce z ciasnego po-
wicia a oko jego, oczyszczone z mgieł zamyślenia i wyte-
żone na zewnątrz, objęło od razu cały widnokrąg.

I zaraz rostoczył się przed nim widok wielki, wspa-
niały, zdający się nie mieć nigdzie początku ni końca. Więc
najodleglejszy kres ziemi szarzał tylko jak długie pasmo
niebieskiej chmury, która zlewała się z niebem. Na niej
rysowały się jakieś cienie, to szerokie, to wzniosłe, zmie-
niające się ciągle i przybierające raz kształty mogił wyso-
kich, inny raz wielkich budowli, to kościołów; a wszystko to
było tak niewyraźne, że nie można było poznać dokładnie,
czy te cienie są chmury przesuwające się po nad ziemią i lu-
dzące wzrok swemi zmiennemi wszybkiej podróży kształtami.
Z tamtąd bliżej ku górom rozplynęła się ziemia w długą i sze-
roką płaszczyznę. Na niej już wyraźnie widać było roz-
ciągające się swobodnie wioski, skupione na pagórkach mia-
steczka, podnoszące się wysoko nad niemi kościoły, a po-
między to wszystko owe łąny długie, szerokie, kołyszące
się srebrnem żytem i złotą pszenicą, rozległe łąki świecą-
ce tu i owdzie okrągłemi stojących wód zwierciadłami i
powyciągane pastwiska, gładkie jak strzyżone kobierce,
bramowane po brzegach stojącemi szeregiem wierzbami lub
krzaczystą olszyną. Środkiem tej krzyczącej do słońca
swemi bogactwami krainy płynęła rzeka wspaniała, chło-
nąc w swojej leniwej podróży bystro z tej lub owej stro-
ny wpadające strumienie i wyglądając przytem jak drzewo
niebieskie, odrysowane ze wszystkiemi swojemi konarami
na ziemi. Z tamtąd znów bliżej poczęła się ziemia kłębić

i garbić, zrazu w niskie, okrągłe, potem w coraz wyższe i stromsze pagórki i góry. Patrzac na nie z daleka, zdawało się widzieć morze śród wyjących orkanów i miotającej się burzy, w chwili najsroźszej wściekłości wszechmocną ręką powstrzymane i tak zastygnięte. Na tych górach szumiały lasy wspaniałe, woniejące balsamem roślinnego żywota, więc zielone dębów stuletnich gromady, gęsto ściśnione buki,— posępne jodły, jeżące się na stromych grzbietach gór i zwieszające się nad przepaściami. Z pomiędzy tych lasów wyglądały tu i owdzie ponure skały, świecące tam nagiemi bokami, tu wieńcząc głowy swoje mchem i karłowatą krzewiną, gdzieindziej straszne otwierając paszczęki, jak przedpotopowe smoki skamieniałe tam przed wiekami. Gdzieindziej z pomiędzy lasów wysuwa się nagi grzbiet góry, okryty tylko bujnemi trawiskami i karłowatemi krzewy. Lecz za to niżej buja roślinność jak pod zwrotnikiem: przez trawy tam wąż się nie prześliznie, przerastają łozinę sitowia, ścielą się po ziemi olbrzymie tarcze łopuchów, a tajemnicze paprocie sięgają drzew liściastymi kitami. Z pod gęstych sitowiów wysączają się małe strumyki, lecz rosną prędko, co każdą stają w dwójnasób, a tuż niedaleko już nad ich brzegami śmieją się strzechy dymne łańcuchami, i tutaj wiszą nad spadziścią góry, tam się zbiegają w gromady, a między nimi w jednym miejscu bieleje dworek, w innym szarzeje baniasta z dzwonnica cerkiewka, tam chatka leśnika pod lasem, tu wiejski cmentarzyk cichy i spokojny jak dziecko śpiące w kołysce.

Na to wszystko patrzył Kamil z niezwykłym zajęciem, a koło niego jeżyły się coraz stromsze gór szczyty, coraz dziksze skaliska. Pod jego nogami szumiały lasy odwieczne jakimś niezrozumiałym językiem, otwierały się głębokie przepaście, nakryte jeszcze niestopniałymi śniegami jak płachtą śmiertelną, o niego ocierały się chmury wilgotne i zimne, nad jego głową przelatywało ptactwo wędrowne i krążył orzeł olbrzymi, szumiąc skrzydłami w powietrzu, jak duch wracający z nadziemskiej wycieczki.

Zatopiwszy się w tym olbrzymim a nieznanym sobie dotąd widoku młodzieniec, stał długo jak oniemiały a chociaż chciał, nie mógł wcale nic myśleć. Lecz za to pierś jego rozszerzała się coraz bardziej, oko się wyjaśniło coraz słoneczniej i — może po raz pierwszy to uderzyło jego milczące serce.

Nie zupełnie świadomy siebie i niby jak upojony, powrócił on dnia tego do domu. Położył się spać, lecz nie mógł zasnąć, — chciał myśleć, lecz myśli jego tylko jak chmury ciemne obiegały około mózgu, — bo rozum jego był jak okręt bez żagli, zapędzony na niespokojną głębinę, którą wprawdzie nie miotają rozhułkane orkany, lecz która sama kipi we środku, i to się wzdyma do góry, to wgląd zapada. I tak ten okręt jego chwiało się tylko, stojąc na jednym miejscu, a wśród ustawicznej ciemnicy tylko raz przesunęła się nad nim myśl jakaś jaśniejsza, i Ka-

milowi zdawało się: że najszczytniejsze utwory ducha ludzkiego w oderwaniu od wszelkiej materji, niczem są w obec tego olbrzymiego utworu wiekuistej istoty, i wyglądają tylko jak mgły szare, niewyraźne w swych kształtach, niepewne siebie i w swojej wiecznej zmienności przesuwać się tylko ponad krainą rzeczywistego życia i wiekuistej piękności.

Myśl ta nie całkowicie duchowa, niebardzo licowała z dotychczasowemi pojęciami Kamila o duchowej i cielesnej istocie człowieka i o ich wzajemnym stosunku do siebie na ziemi, lecz niemniej przeto była ona naturalnym skutkiem jego dzisiejszych wrażeń: bo wszelkie bliższe zetknięcia się z pięknosciami natury wzruszają ziemskie serce człowieka, i umysł jego raczej przybliżają do rzeczywistej ziemi, niżeli-by go miały odtrącać i podnosić w eteryczną krainę czystego ducha. Wszakże myśl ta, jakkolwiek jeszcze ani uzasadniona ani rozwinięta dokładnie, była już rzeczywistym początkiem wstęgi długiej i bardzo daleko zaprowadzić mogącej. Wstęgę tę znamy my wszyscy dokładnie i wiemy, jak piękną jest i jak cudownymi igra barwami aż do swojej połowy, jak wzniosłym hymnem najpiękniejszej harmonii, harmonii doskonałej dwóch światów pokrewnych, spływających się z sobą w istocie człowieka, uderza we środku, — lecz zarazem wiemy i to, w jakim bagnie brudnego materializmu topią się niebacznie opuszczone jej końce.

Ale o tem wszystkiem nie wiedział jeszcze niedoświadczony i duchową połową tylko dotychczas żyjący Kamil. Następnego dnia rano wstał on z temi samymi wrażeniami w młodzieńczej duszy, które się wlały w nią wczoraj, a olśniony ich nowością i pięknosciami znęcony, rozlakomił się na nie i poszedł szukać ich więcej. Odtąd nie mógł on już całkiem wysiedzieć pod dachem i całe dnie od świtu do nocy przepędził błądząc po niezmiernych obszarach, przesiadując w gęstwinach odwiecznych lasów, wieszając się po wierzchołkach gór i skał szczytach, i z tamtąd szukając łakomemi oczyma coraz to nowych i piękniejszych widoków. I począł coraz z gorętszą ciekawością śledzić pismo tej księgi wielkiej, którą Bóg sam dla ludzi otworzył, a która tak mało ma czytelników. Lecz on się obznajmiał z jej różnemi kartami nadzwyczaj prędko, a przy tej pracy jego rozum coraz się pokorniej układał, a jego serce poczęło wzrastać, nabierać życia i głosu i już sięgało pod główną władzę nad jego całą istotą.

Wkrótce też cały świat ten otaczający go teraz z tak martwych i niemych przedtem złożony części, nabrał dla niego znaczenia i życia. Każden widok odległy, każda skała zwieszająca się z brzegu, każde drzewo szemrzące liściem z wiatrami, każda roślina wychylająca się z gęstwin ku słońcu, każda trawka drobnutka przyklepiona do ziemi, miała w jego oczach swoje znaczenie, miała głos swój osobny, którym przemawiała do niego.

I Kamil coraz bardziej zbliżał się do tej bujnej i niewyczerpanej w swoich pięknościach natury, coraz żywszem uczuciem przywiązywał się do niej, w coraz gorętsze ją obejmował uściski. Pojmował on dobrze całe znaczenie tych rozległych widoków, umiał lecieć myślą na najodleglejsze ich kresy, rozmawiać tam z mogiłami, płynąć z wodą uciekającą do morza, i nad jej brzegi sprowadzać wspomnieniami te czasy odległe i piękne, za którymi tęskniły role wysrane i oschłe, o których marzyły stare wierzby nad wodą, i nowe pola ogołocone z przedwiekowych swych ozdób, a których pamięć dzisiaj spoczywała już tylko w mogiłach. Umiał on odgadywać pierwotne kształty pokrajanych miedzami pagórków, rozmawiać ze starymi dębami o czasach pogańskich i pomieszkaniach bogów pomiędzy niemi, zaludniał głębokie wnętrza skał zbrojnych ludzi gromadą, ukrywającą się tam przed zagonami hord azyatyckich; — rozumiał on się z kędzierzawą kosodrzewiną, z niemym bluszczem wijącym się samotnie po ziemi, z samotnym kwiatkiem wystrzelającym z skalnej szczeliny zagląającym ciekawie za słońcem i modlącym się kornie do niego, ażeby go oświeciło swoim promieniem, tak jak ludzie się modlą do Boga, aby go mogli uczuć w swem sercu, i odżywić się pod jego okiem wszechmocnem. Kamil widywał z najwyższej góry wspinał się widok wschodzącego słońca, słuchał chóru śpiewających o świetle ptaszątek, śledził śmiały lot orłów toczących kręgi nad gór szczytami, przecinał sobą chmury pędzące od mórz dalekich z krain wiecznej wiosny i wiecznej pogody.

I tak wchodząc w coraz ściślejszy związek ze wszystkimi cząstkami tej bogatej natury, czuł, że to wszystko, co go otaczało, miało swój własny oddech, swe własne życie..... że poczawszy od drobnej trawki, tulącej się do podnóża olbrzymiej skały, aż do człowieka, wyciągającego stęsknione ku wieczności ramiona, wszystko się tu łączyło w jeden łańcuch długi, ściśle ze sobą spojony.... że w całym tym ogromie, z milionowych cząstek złożonym, biła jedna i ta sama myśl wiekuista, jakoby serce wszechmocnej istoty, nieśmiertelną miłością po wszech-świecie rozlane.

I Kamil uczył także w sobie część tego serca, i usłyszał głos jego, i puścił wolne wodze uczuciom jego.... że się nakoniec sam stał niby sercem, rozlewającym się po wszech-stworzeniu natury, niby ostatniem ogniwem tego ogromnego łańcucha, niby harfą cudowną o tysiącu stroń złotych, wiążącą wszystkie te tony w jeden akord wspinały, w jeden hymn wielki, pełen wniosłości, prawdy i jakiejś dziwnie rzewnej, porywającej, lecz nieświadomej siebie tęsknoty.

Aż dnia jednego, błądząc wedle swego zwyczaju po rozległych obszarach wioski, zaszedł nad ów *Jar pogański*, o którym stary wachmistrz wspominał. Była to głęboka, przepaścista i długa pomiędzy dwiema wolno się zniżającymi górami rospadlina, której głębią sączyła się po gruncie ska-

listym woda spływająca z kilku dalekich źródeł, a której obadwa brzegi, wyrwane corocznie gwałtownymi odpływami zimowych śniegów, zarosnięte były bujnemi lasowemi chwastami, wiotkimi od ustawicznej wilgoci i chłodu i zwieszającymi się na dół w kształt dzikich bluszczów i powojów. Po tej stronie Jaru rozścielała się gładka murawa, zasiana gęsto starymi kretowinami, zarosniętymi wonną macierzanką; rzadkie krzaki jałowcu i innej jakiejś krzewiny snuły się tamtędy ku góróm, i kilkanaście buków starych stało tam rozsypanych, niby żołnierze postawione na czatach granicznych. Po drugiej stronie szumiął las gęsty bukowy, pełen chłodu i owej woni orzeźwiającej, zdrowej jak woda z górskiego źródła, i czystej jak oddech piętnastoletniej dziewicy. O kilkanaście kroków od brzegu las zrzędniał cokolwiek i widać tam było jak gdyby pasmo całe snujących się dębów, przerzuconych odwiecznymi jodłami i krzaczystą leszczyną. Z pomiędzy tych dębów jeden był zadziwiającej wielkości. Stał on w niejakiem od tamtych odosobnieniu, tuż prawie przy samym brzegu, jak gdyby starzec stuletni, poważny, uciekający od gwaru gadatliwej młodzieży. Rozrośnięty w pniu tak szeroko, że trzeba było kilkunastu ludzi, ażeby go objąć ramionami zdołali, rozrósł on się także i w górze — a jedna gałąź jego olbrzymia, zapewne jakąś burzą przed laty złamana, oderwała się od niego i upadając na poprzek jaru, tak jeszcze dobrze zasięgnęła drugiego brzegu, że sprawiła sobą niby most naturalny, przez który z ostrożnością można się było na tamtą stronę przeprowadzić. Wszakże nigdy tam nikt tym mostem nie chodził. Okolica bowiem, z tamtej strony Jaru leżąca, była to prawdziwa puszcza lesista, mieszcząca w sobie kilkanaście wiosek tak ubogich i nie do pozbycia nie mających, że nikt tam żadnej sprawy mieć nie mógł, kraina zresztą, z tej strony Jaru położona, wszystkimi interesami swemi ważyła się tu, ku wschodowi, i tu mając drogi dogodnie, bliskie miasteczka i targi, od niepamiętnych czasów, żadnej nie miewała komunikacji z tamtą dziką pustynią i dzisiaj jej nie szukała.

Wszakże młody filozof, nie powodujący się jeszcze w niczem materyjalnymi względami, obaczywszy raz i drugi tę odwieczną i napół ciemną pustynię, znalazł ją właśnie bardzo zajmującą i nader ciekawą. To surowe, leśne powietrze, te odwieczne drzewa szumiące dziwnie poważnym językiem, ta tajemnicza ciemność w ich głębi, te niezwykłej wielkości i postaci zielska snujące się tam po ziemi, wreszcie owo poetyczne podanie o mieszkających tam leśnych boginiach, a nakoniec ów jar głęboki, zarosnięty, szemrzący w swej głębi i niejaka trudność dostania się na tamtą stronę, — wszystko to obudziło w nim wielką ciekawość i wyrodziło w nim chętkę zapuszczenia się koniecznie wewnątrz tego dzikiego ostępu. Jakoż dzisiaj przyszedł on tutaj z przedsięwzięciem stanowczem przejścia na drugą stronę.

Znalazł się nagle wprost na przeciwko owego starego

dębu, stojącego samotnie, zatrzymał on się na chwilę. Lecz nie dla tego, ażeby się czegoś obawiał, tylko dla tego, że zdawało mu się słyszeć szelest jakiś po tamtej stronie. Stał więc i podsłuchał, ale zamiast coś usłyszeć, ujrzał tylko, że w owym dębie, który był wewnątrz próżny i wypalony, leżały jakieś kwiaty i wieńce, nieomylnie ludzką ręką tam położone. Rozpatrzywszy się lepiej, zdało mu się nawet, że widzi tuż przed samem wejściem do próżnego środka drewnianego olbrzyma trawę pomiętą i pogniecioną, a po niej rozsiane także jakieś kwiaty przez połowę pomięte.

I to go zadziwiło cokolwiek, lecz obejrawszy się jeszcze raz na około i widząc, że na wszystkie strony, jak daleko jego oko dosięgnąć mogło, nie było nigdzie żadnego żywego stworzenia, — wstąpił na najgłębszy konar tego osobliwego mostu i rozkrzyżowawszy ramiona dla utrzymania się w równowadze, puścił się powoli na tamtą stronę.

Atoli zaledwie zrobił naprzód trzy kroki, nagle i niespodziewanie błysnęła jakaś wysmukła postać młodej dziewczyny z za dębu, zarazem głos dźwięczny lecz przenikliwy dał się słyszeć:

— Nie idź tu, bo upadniesz! (C. d. n.)

Owce i wilcy.

Owiczki już od wilków spokoju nie miały;
 Doszło nawet do tego że rząd o nie dbały.
 Przedsięwziął środki konieczne,
 Sprawić im życie bezpieczne,
 I na ten koniec zebrała się rada.
 Prawda, że ona weźceci z wilków się składała,
 Lecz nie o wszystkich wilkach źle się w świecie gada.
 Bywali nieraz tacy, którzy Bogu chwała,
 Jak najskromniej żyli z niemi,
 Zwłaszcza gdy byli sytemi.
 Tak, dlaczegoż i wilkom nie zasiadać w radzie,
 Choć idzie o owiec skórę,
 I wilkom przecież trzeba nie być na zawadzie?
 I szanować ich naturę.
 A tak, gdy w głuchym borze zebrało się grono,
 Długo dumano, gadano, radzono,
 I wydano ukaz nowy,
 Który takimi brzmi słowy:
 „Skoro się tylko wilk do trzody wkradnie,
 I gwałtem owcę napadnie,
 To wolno owcy w teje samej dobie,
 Bez żadnych względów ku jego osobie,
 Schwytać go za kark i przed sąd go stawić,
 W najbliższe gaje czy bory.”
 Ukaz jawny, dobitny, godzien, by go sławić,
 Ale cóż? wiem to tylko, że i do tej pory,
 (Choć mówią, że się wilkom nieprzebacza wcale,
 Czy to zawinią owce, czy zanoszą żale)
 Wilcy i teraz jak za dawnych czasów,
 Wloką je z sobą do lasów.

Najnowsze dzieła.

Czarna krówka, legenda przez Wincentego Pola, w Bochni 1854.

Do nowości literackich wyszłych świeżo, należy *Czarna krówka*, legenda Wincentego Pola, wierszem napisana, drukowana w Bochni przez Wawrzyńca Pizsa. (Gdyby nie nazwisko tak znakomitego pisarza, jakim jest u nas Wincenty Pol, możnaby przejść milczeniem ten utworek, ładniutki zapewne, ale nie mający żadnego wyższego znaczenia, żadnej wyższej dążności. Podobało się poecie napisać legendę i napisał ją. Że napisał ją wierszem gładkim, z wielką prostotą i naiwnością tak wyrażen jako też i uczucia, nic dziwnego, bo inaczej Wincenty Pol pisać nie potrafi. Jest to jego maniera, pełna sobie właściwego powabu, o której dosyć już napisali się i jego najgorętsi wielbiciele, i surowi od nich krytycy. Nie będziemy zatem sprzeciwiać się zupełnie w tej mierze zdaniu zawartemu w felietonie Czasu w N. 177. Wszakże felieton Czasu najlepszym jest zapewne sędzią, co do takiego rodzaju legendowego, jak się wyraża w sprawozdaniu swoim, i wierzymy wraz z nim że *Czarna krówka* może posłużyć za wzór tego rodzaju. Wierzymy to wszystko na ślepo, co nam powiada o naśladowaniu angielskich i niemieckich legend przez Odyńca, o rozwlekłości Hołowińskiego, o nieporównanych *florettach* św. Franciszka Serafickiego.) Nie chcąc nawet rozpoczynać małoważnej walki z amatorami poezji legendowej i w ogóle literatury pobożno-mistycznej, o której już daliśmy raz zdanie nasze, nie będziemy się rozwodzić nad tem, o ile legenda mniej czy więcej gładkim napisana wierszem, może znakomite zająć miejsce pomiędzy utworami poezyjnymi. (Inaczej wszakże ma się rzecz co do treści tej legendy. W tej mierze nie dzielimy zdania Czasu. Treść *Czarnej krówki*, jest wzięta zupełnie z wyobraźni poety; nie podnosi on zatem onej legendy do jakiegokolwiek wyższego znaczenia jakim, czy historycznym, czy obyczajowym rysem.) Treść jej jest taka. W klasztorze stary kwestarz jest słaby; posyłają więc nowego; ten obdarzony kosturem i tabakierą starego wyrusza w sąsiedztwo. Kwesta mu się udaje; wraca z pełnemi furami i trzodą owiec. Zastaje starego kwestarza konającego, który ujrawszy go prosi o trochę mleka. Nowy kwestarz wybiega z celi zmieszany; stary umiera, a jego następcą od tej chwili chodzi jak nie swój i rozpacza. Dla czego? nikt nie wie, bo się kwestarz mimo obediencji, którą poeta podnosi jako jedną z barw koniecznych swojego zakonowego poematu, ani braciškom, ani ojcu gwardyano wi przyznać nie chce. Przyjeżdża na to prowincyał; kwestarza bierze do siebie, przemawia doń pobożnie i serdecznie, i dowiaduje się przecie o jego powodach do rozpaczcy. Oto dawny przyjaciel starego kwestarza posłał mu przez naszego kwestarza w darze czarną krówkę. Kwestarz po drodze zdybuje wdowę biedną z trojgiem dzieci.

Wszystkie czworo umierają prawie z głodu i nędzy; litością wiedziony kwestarz zostawia im czarną krówkę. Prośba konającego o mleko, rozbudza w nim srogie zarzuty sumienia. Prowincyał wysłuchawszy wszystko, nie czuje w sobie dosyć silnego przekonania o moralnej wartości tego uczynku, by jakiś wydał wyrok, lub zdanie objawił swoje, spuszcza tę rzecz na przypadek. Otwiera pismo święte na los szczęścia, i na szczęście kwestarza padają na wiersze jemu sprzyjające, co zadowalnia i prowincyała i kwestarza i ma zadowolnić czytelników legendy tym onej sensem moralnym. Że takie odwoływanie się do pisma świętego bywa w zwyczajach klasztornych, słyszeliśmy i widzieliśmy nieraz, ale jest to rodzaj zabawy, jaką sobie zakonnicy pozwalają, zabawy, nad której ocenieniem rzetelnym rozwoździć się nie chcemy. Lecz by podobne odwoływanie się do przypadkowo otwartej karty pisma świętego, bywało używane w rzeczach ważniejszych, i mogło służyć za podstawę wyroku nawet, nie słyszeliśmy nigdy, i po prawdzie powiedziawszy pozwalamy sobie wątpić, przypisując w tej mierze gwardyanom i prowincyałom więcej samoistnego, im przyzwoitego zdania. W ogóle znajdujemy, że autor natrafił na nieszczęśliwy przedmiot legendy swojej, a co gorzej na przedmiot tem drażliwszy, im jest więcej w przeciwieństwie z tem, co właściwie lubownicy podobnych poezyj, starają się rozbudzić w czytającej niezbyt ortodoxyjnej publiczności. Po cóż bowiem dotykać takiej kwestyi religijno-moralnej? Czy kwestarz dobrze zrobił, że miłosierdziem tak przyzwoitem dla zakonnika wruszony dał krówkę, część mnogich darów miłosiernych, łaknącej wdowie i niemowlętom? Był ci to grzech? czy nie? Naszem zdaniem, lepiej dać spokój takim kwestyom, i to jeszcze w literaturze lekkiej. Nie przesadzając w purytanizmie, znajdujemy, że to i niezgrabne i niekoniecznie przyzwoite. Dodamy w końcu, z wielkiem przeproszeniem szanownego redaktora feletonu Czasu, że się z nim także zgodzić nie możemy co do pojęcia figury kwestarza, która wedle niego w tej legendzie, odzyskawszy swą zacność, lepiej jest przedstawiona, niżeli przez innych naszych poetów i pisarzy, bo bez tej zwykle dodawanej im rubasznosci. Owoż w tej mierze odwołujemy się do zdania ogólnego. Każdy z nas stary czy młodszy zapamięta jakiegoś kwestarza, i każdy przypomni sobie nie bez uśmiechu i rozczulenia stronę jego rubaszną, konieczną poniekąd przy mnogich jego ze światem stosunkach, stronę nie anegdotyczną, jak się wyraża feleton, ale często historyczną stronę nareszcie, którą i Chodźko i drudzy oddali tak po mistrzowsku, iż nic jej ani dodać, ani ująć nie potrafią, ani talent Wincentego Pola, ani przemożne zdanie krytyczne feletonisty krakowskiego. >

Z dziennika podróży po Włoszech.

...Pani aptekarzowa i Mistress B... jechały najczęściej na osłach lub mułach, mężczyźni zaś czasem wierzchem jechali także, póki nam się, jak to u nas powiadają, piechotą nie trafiło, co się oczywiście często zdarzało. Bo najczęściej najpyszniejsze wodospady, najcudniejsze widoki przystępne są tylko dzikim kozom i wytrwałemu człowiekowi. A jak to już mówiłem, cała nasza kawalkata podróżowała, jak u nas na Kalwaryę, z różnych okolic i krajów narody i w różnych zamysłach. Już to przewodnictwo nasze uzurpował sobie jakiś jegomość młody, którego wszyscy za Niemca trzymali. Ja zaś, przebywając często w Krakowie, Brodach, a na filozofii we Lwowie nieraz mając interesa na Zarwanicy, spoznałem po nadto rzymskim nosie, nadto śmiałych konturach warg, i owej sentymentalnej mowie i wymowie, że to był jeden z owych emancypowanych synów Izraela, którzy w Niemczech bardzo licznie zapełniają kasę owych „Schöngeistler“. Był tam z resztą z nami John B... Esq., był jakiś uczony niemiecki naturalista, był Rossyanin, Francuz, etc. ludzie, którzy z nudów, z zapału do umiejętności i z różnych innych przyczyn odbywali stacye po Alpach. I już dość długo tak w tym samym towarzystwie podróżowaliśmy, a jednakowoż, gdy zasiadliśmy razem do obiadu lub smaczniejszych jeszcze podwieczorków, to jeden drugiego tyłoma pytaniami zarzucał, jakby się nigdy nie znali, lub bardzo dawno nie widzieli. Niemiecki naturalista w czasie podróży i wycieczek naszych po górach, skałach, dolinach, połoninach i lodowcach milczał. Schylony, z okiem do ziemi przykutem lub wbitem w krzaki i wierzchołki gór, pośród nas błakał się, jak cień w Elizium. Ale gdy przyszedł do izby gościnnej z sześcioma czy ośmioma kieszeniami swemi, jak torby na mule naładowanemi i usiadł, to już ni końca ni początku nie było jego pytaniami i opowiadaniem, i nuże z kieszeń wydobywał minerały, piórka, chrząszcze, motyle, gałązki, amfibia, i promiennym a troskliwym wzrokiem pokazywał nam każdy szczegół, jak lichwiarz rzadkiej wielkości i wartości perły. Już to mimo woli i władzy stał się najnieznośniejszym wrogiem aptekarczykowi młodziutkiem, który około młodszej jeszcze a pięknej żoneczki swojej szczebiolliwej uwijał i umizgał się z największym zajęciem i nadskakiwaniem, jak motyl około kwiatu, którego kielich miodowy dopiero przed dniem rozwinął się.

Na tych wyprawach towarzyszył uczonemu naturaliście Anglik. Nieraz po kilkodniowej niebytności wracali z ogromnemi zdobyczami z wszelkich trzech królestw; nie Wielkiej Brytanii, ale większej jeszcze przyrody. Zaprzyjaźnienie się to Johna B... Esq. z naturalistą nie było bez powodu (bo Anglik i Żyd nic bez przyczyny nie robi), a tym była chęć poznania się z metalurgią. Anglik bowiem wielkie kapitały włożył w spekulacye górnicze. Najczęściej więc tylko ze

sobą obcowali, i utworzyli niejako rzeczpospolitą w rzeczypospolitej, która wedle odrębnych swoich praw żyła, chodziła, zapatrywała się na niewyczerpane skarby i dziwa przyrody Alpejskiej.

Anglik ten był bankierem, ale pomimo tego bardzo miłym i przyjacielskim człowiekiem. Nieraz wieczorem wyciągnął coś z kieszeni dla naturalisty, co znalazł, wygrzebał lub kupił, i z widoczną radością ofiarował naturaliście. Był on oczywiście najbogatszym między nami, traktował nas swojemi cygarami; w każdym większem mieście czekały na niego całe paki gazet, których i nam udzielał. Ale mimo tego chodził w surducie poszarpanym jak większa część naszego towarzystwa, tylko zawsze z ową wykwinnością Gentlemana poprawiał sobie cieniutkie manszety i zaciągał czarne jedwabne rękawiczki. Najgorzej mu dokuczał brak dobrego mięsa na rostbify, przez co zawsze na niestrawność się uskarżał. Po jedzeniu zawsze popijał magnezję. Ale oprócz tych zgryzot żołądkowych i nieochybnej złądhipochondryi, napadały go czasem większe zmartwienia z powodu kursu, o którym mu po miastach najakuratniej donoszono. W razie nieprzychylnego spadnięcia lub wznoszenia się kursu, stawał się nagle nieczuły na wszystko. Był w stanie w takim momencie siedzieć całe godziny jak posąg z okularami na czoło podsuniętymi; oczy wytrzeszczywszy, patrzył przed się, ale pewnie nic nie widział.

Stanęliśmy w Weronie. Na pięknym jeziorze Garda i malowniczych brzegach jego, dokąd ztąd się udają, mieliśmy kilka dni przepędzić. Bankiera przez cały dzień niebyło; do późna czekaliśmy na niego z wieszczą.

Przybył nareszcie, a raczej wpadł, jakby za nim duch jaki pędził, i usiadł słowa nie przemówiwszy. Wyczytaliśmy mu zaraz z oblicza jak z termometru że kurs akcyj jego gdzieś niżej zera upaść musiał, a w takim razie nieśmy do niego nie gadali i zostawiali czasowi wyleczenie go z smutku. Siedział on przy stole, ale potraw, choć bardo smacznie przyprawione były, i bifszyk woń swą puszczał mu pod nos i w inaczej usposobionym byłby rozbudził żarłoczność niepospolitą, nie tknął nawet. Wyglądał blade i mówił, że jest chory. Aptekarz z żoną siedząc obok niego, kilkakroć podczas obiadu spojrzeli badawczo i z zadziwieniem po sobie, kilkakroć ruszyli krzesłami, i aż swobodnie odetchnęli, gdy Anglik wstał od stołu. My przechadzaliśmy się po sali, tylko bankier oparłszy się o łokcie, pozostał przy stole. Wtem aptekarz szepnął coś sąsiadowi, tenże Francuzowi, a gadatliwy Francuz dalej rozniósł po sali. Wszyscy na pół zdziwieni, na pół uśmiechając się spoglądali po sobie, w końcu i mnie udzielono tej tajemnicy i dowiedziałem się, iż od bankiera rozchodzi się bardzo nieprzyjemny, dziwny odor, tak iż w ambarassie byli wszyscy, jakby mu to zręcznie i nieobrażając go, powiedzieć można. W końcu uproszono panią aptekarzową, aby

to żonie bankiera z wszelką oględnością powiedziała. I tak się stało.

Mistress B. zbladła widocznie. Zbliżyła się natychmiast do męża siedzącego jeszcze przy stole i zatopionego w myślach, i wnet odstąpiła znowu o kilka kroków, a to w sposób dowodzący nam dostatecznie, iż nasze zdanie jest prawdziwe: «Mężu, a tobie co takiego, rzekła, jakiś odor idzie od ciebie, jak od trupa?» Bankier spojrział przełknięciem okiem na żonę i odparł przerażony:

— Więc to prawda, więc to odemnie ten odor istotnie? Oddawna już coś podobnego miarkuję; jestem niezdrów i położę się do łóżka. Ten odor trupi jest przepowiednią mojej śmierci, każ przywołać najlepszego lekarza.

Wszyscy obecni posmutnieli; z rodzajem wstrętu i obawy opuszczali pacjenta i rozbiegli się po mieście, postanowiwszy, tak długo pozostać w Weronie, dopokąd nie dowiedzą się z pewnością, co się z naszym towarzyszem podróży stało.

I ja przeszedłem się do Castello vecchio, lecz w krótko wróciłem, chcąc się dowiedzieć, co się z naszym chorym dzieje. Zastałem go leżącego w łóżku i pijącego herbatę. Był w wesołym humorze, a żona jego uprzedziła mnie natychmiast, iż mogę zbliżyć się śmiało; ów nieszczęśliwy odor zniknął, a mąż jej zdrów zupełnie. Lekarz nie znalazł żadnej gorączki i mocno kiwał głową i powątpiewał, gdy mu o tym trupim zapachu mówiono. Przybyli wkrótce i inni z naszego towarzystwa, zaczęto śmiać się z tego wypadku, i tłumaczyć sobie rozmaicie, a przy znanej nieczystości Włochów, od której nasz hotel nie był wolny, łatwo było rzecz całą wytłumaczyć. Bankierowi podano szlafrok, zapalono światła, wniesiono herbatę i karty i w krótko siedzieliśmy wszyscy w najlepszym humorze przy zielonych stolikach. Przed rozejściem się postanowiliśmy, jeszcze dwa dni w Weronie zabawić.

Na drugi dzień rano bankier, ukończywszy swoją toaletę, opuścił nas, udając się do przyjaciela, pod którego adresem listy otrzymywał. Umówiliśmy się zejść za godzinę u nagrobków Skaligera. Bankier silnie zalterowany i z rodzajem obawy usuwał się od nas. Spostrzegliśmy to zaraz, i zapytaliśmy się otwarcie o przyczynę. Głęboko westchnąwszy odparł nam:

— Zdaje mi się, iż znów coś cuchnie odemnie, wmawiam w siebie, iż to przywidzenie. Niezblizajcie się do mnie, bo gdybyście potwierdzili, iż istotnie ten sam odor odemnie się rozchodzi, gotówem dostać pomieszania zmysłów. Los mój jest okropny, już nie będę się mógł nigdzie pokazać, nawet na giełdzie.

I rzekłszy to jak szalony uciekł od nas.

Rodacy jego rozmaite czynili domysły; ja zaś począłem się zastanawiać nad narodową Anglików chorobą, nad spleenem, i wcale byłem rad z przypadku, który mi podał sposobność, widzenia po raz pierwszy objawu tej cho-

roby i to tak ciekawego. W godzinę ruszyliśmy do nagrobka Skaligerów. Nasz bankier z swym przyjacielem Włochem już oczekiwał nas za kratą, otaczającą nagrobki. Przypatrywaliśmy się nagrobkom z uwagą, i pytaliśmy o imiona książąt, którzy tak kosztowne pomniki swym ciałom zbudować kazali. Włoch wpadł właśnie w zapał opowiadania, w tem nagle obejrzał się i rzekł:

— Dziwna rzecz! zupełnie taki odor, jak gdyby zmarłych przed kilkoma wiekami a spoczywających tutaj ciała dotąd jeszcze były w rozkładzie zgnilizny. Przystąpcie bliżej moi panowie do tego Consygnoryusza. Czy nie czujecie tego odoru przenikliwego, jak gdyby od gnijącego trupa?

Zdziwieni spojrzeliśmy wszyscy po sobie i cofnęliśmy się o krok. Lecz nieszczęśliwy bankier zawołał zachrypniętym głosem:

— Nie Consygnorius, nie! to odemnie ten odor trup! Skoczył i szybko uciekał od nas, biegnąc, co mu tchu stało ku hotelowi.

Wróciwszy zastaliśmy go już w łóżku, a zatrwożona pani bankierowa krzątała się około męża. Ogrzawszy się herbatą, czuł się bankier zdrowszym. Przywołany lekarz znalazł wprawdzie trochę irytacji, ale ani śladu gorączki. I już chciał cały ten wypadek dziwny wytłumaczyć z nadto rozdrażnionej wyobraźni, lecz jego przypuszczenie zbililiśmy łatwo świadectwem naszym. Rodacy bankiera przez cały ten wieczór usunęli się od niego, i wyraźnie między sobą a bankierem pociągnęli kwarantannę. Aptekarz przyrządził natychmiast bardzo skuteczne środki przeciw zarazie, i postanowiono pana bankiera zostawić w Weronie, a samym ruszyć w dalszą podróż.

Tylko ja jeden czułem litość nad nieszczęśliwym, a gdym go tego wieczora odwiedził, zastałem go smacznie pijącego herbatę; o przykrym zapachu i mowy nie było, siedliśmy więc do ecarté. Pożno rozeszliśmy się, a gdym wrócił do mojej sypialni, posługacz oświadczył mi, iż naturalista i oficer, którzy wraz ze mną mieszkali, wyprowadzili się, pozostawivszy pokój mnie samemu. Przytem od aptekarza doręczył mi paczkę, w której znalazłem flaseczkę do wacchania, woreczek napełniony jakimś lekarstwami do noszenia na piersiach i rozeiek chloru do mycia się. Na kartce przyłączonej do tych lekarstw, wyczytałem po angielsku, co następuje: «Towarzystwo angielskich podróżników, do którego się przyłączyłeś bardzo rade jest z towarzystwa pańskiego, a wybierając się właśnie do niemieckich i sławiańskich prowincyj austriackich, życzyłoby sobie, abyś pan jako znając języki i prawa tamtejsze, od nas się nie odłączył. Jeśli to panu będzie po myśli, więc racz przystąpić do postanowienia przez nas powziętego, jako wiadomo się czyni, iż wielce szanowny p. bankier B... popadł w »infections nervous disorder;» każdy więc z towarzystwa naszego obowiązany jest, wszelkiego zetknięcia się z nim unikać.»

Uchwałę tę podpisali wszyscy.

Rozmaitość.

* Czerniowce 10 Sierpnia 1854. Lubo nie na wszystkich przedstawieniach teatralnych obecny byłem; donoszę ci przynajmniej nazwiska wszystkich sztuk na scenie tutejszej grywanych, dodając uwagi tylko do tych, na których przedstawieniu byłem przytomny.

22. Lipca grano komedję: Handlarz bydła z krakowskiego.

23. Dramat z francuskiego w 5 aktach pod nazwą: «Wróżka la Voisin.» Jest to: jak zwykle nowsze dramaty francuskie, utwor wyrahowany na efekt sceniczny, przypieprzony nadmiarem zbrodni, przedstawiający ludzi, jakich tylko zepsute towarzystwo francuskie wyrodzić zdoła, nie troszczący się o wewnętrzną prawdę, o prawdopodobieństwo, byle tylko osiągnąć zamierzonego celu, t. j. drażnienia przytępionych nerwów publiczności francuskiej.

24. Lipca grano: Okno na pierwszym piętrze. Dramat Korzeniowskiego. Do tej »Liczba 960», komedya z francuskiego.

25. Więzy stargane, komedya w 5 aktach z francuskiego.

26. Detaxacya, komedya w 2 aktach przez Gorczyńskiego. Dalej Doktor medycyny, komedya w 1 akcie przez Gorczyńskiego.

27. Nauka dla młodych panien. Dramat w 5 aktach z francuskiego, o której to ostatniej sztuce cokolwiek nadmienić wypada.

Tytuł tego dramatu znęcił niemało młodych panien, które zgromadziły się w chęci nauczenia się czegoś. Lecz podobnej nauki nie życzylibyśmy młodym pannom.— Adela, córka margrabiego d'Albreuse zakochała się w Alfonsie Savigny, młodym lecz ubogim malarzu. Ojciec, dumny ze swego wysokiego rodu i majątku, odmówił rękę córki Alfonsowi i wzbronił wstępu do domu. Wszelako Adela niepomna na zakazy ojca, wbrew jego woli utrzymywała schadzki z Alfonsem, a wkońcu widząc odkryte swe postępowanie, oświadczyła ojcu stanowczo, że za Alfonsem w świat pójdzie, że żoną jego być musi. Tym stanowczym krokiem córki do żywego dotknięty margrabia, przeklął swe dziecko, z domu wyrugował, i wzbronił powrotu na zawsze. Adela poszła z Alfonsem, lecz nie mając zezwolenia ojcowskiego nie stała się jego żoną, żyjąc z nim jednak pod pozorem żony, oddalona od towarzystwa świata. Z początku czuła się szczęśliwą, myśląc, że jest jedynym przedmiotem uczuć kochanego Alfonsa. Ta myśl wystarczała dla niej. Ale to omamienie w krótkce znikło. Alfonsowi znudziła się w krótkce kobieta prześladowająca go swą niezmierną miłością i zazdrością, i począł szukać miłostek po za domem. To stało się powodem wielu zgrzyot dla Adeli, wielu niesnasek domowych. Najznakomitszą rywalką Adeli była pani d'Estange, piękna i majątna kobieta, która nieznając jego stosunków z Adelą zastawiła się na Alfonsa i w takowe go złapała. Adela dowiedziawszy się o tem, zazdrością miotana, pragnąc obaczyć swą rywalkę, udaje się do tejże pałacu, lecz upokorzenie, którego tu od Adeli doświadczyła, złamało jej serce. Tymczasem pomiędzy Alfonsem i p. d'Estange ułożono już warunki ślubu, który właśnie co zawarty być miał, gdy Margrabia ojciec Adeli, będąc przez rząd ścigany szukał schronienia w domu pani d'Estange dawnej swej przyjaciółki. Tu dowiedział się o tejże stosunkach z Alfonsem i o nieszczęśliwym położeniu swej córki. Prześladowanie, które doznawał, zniszczyło jego dumę, odezwało się serce ojcowskie, i w celu zmazania plamy z rodu swojego dziś stanął przed Alfonsem, błagając go o zawarcie ślubu małżeńskiego z córką, którego mu przed dwoma laty tak srogo zabronił. Tu w Alfonsie odżyły szlachetniejsze uczucia, zezwolił na wszystko, i już ojciec oddaje rękę córki dawnemu jej kochankowi, gdy ta, skołatana długimi zgrzyotami, niemogąc znieść tego nowego wstrząśnienia umiera!—Niewiem czego się młode panny z tego nowego francuskiego dramatu nauczyć mogą! Chyba utrzymywać miłostki wbrew woli rodziców, puszczając się z przekleństwem ojcowskiem w świat za kochankami, żyć z nimi w związkach zakazanych i w końcu otrzymać przebaczenie ojcowskie. Lubo we francuskich dramatach podobnych nauk bez liku, przecie żadna dotąd nie wystąpiła jawnie z pretensją, że jest »nauką dla młodych

panien.² Lecz to tyczy się autora dramatu, nie zaś grających artystów. Główną rolę, to jest Adeli, grała pani Lankowska z wielką rzewnością i naturalnością, zadała sobie widocznie wiele pracy, aby zadość uczynić tej trudnej roli, i zupełnie zadowoloniła publiczność. Pan Kąlicński grał Alfonsa, a zrozumiawszy swe zadanie, wywiązał się z niego zrećnie bez ważniejszych usterek. Nie tak szczęśliwie przedstawiła panią d'Estange panna Targowska, i nie zdaje się mieć powołania do dramatu, nie posiadając ani dostatecznej giętkości głosu, do oddania różnych odcieni namiętności niezbędnej, ani mimiki, ani rzutkości ciała; w komedjach zaś to jej zarzucić można, że niema dość władzy nad sobą, aby wstrzymać się od śmiechu, tam gdzie śmiać się zupełnie nie powinna. Tej samej wadzie popada i pani Krzyżanowska.

28. Lipca: Dożywocie, komedia Alex. hr. Fredry.

* **Tatarzy Krymscy.** Ustęp z dzieł Oliphanta. Wojna Turcyi z Rosyją, która wcale inny wzięła obrot, niż przed rozpoczęciem tejże myślanó w Petersburgu i unas, wywołała teraz mnóstwo dzieł o Rosyji i Wschodzie. Celują w tym względzie Anglicy, owi sławni, bogaci, a po największej części uczeni wojażery. Tak wydał *Shirle Books*: „Odessa i południowo-rosyjskie szpichrze,” *Patrick O'Brien*: „księstwa naddunajskie w jesieni i zimie roku 1853.” *War-rington W. Smyth*: „Podróż po Albanii, Bułgarii i Serbu.” Podajemy tutaj ustęp z dzieła Oliphanta, które niedawno wyszło w Anglii i opisuje Krym, a szczególnie Sebastopol i rosyjską flotę czarnomorską. Twierdzi on w tem piśmie swoim, że największą część floty czarnomorskiej rosyjskiej robaki roztoczyli, że ta flota jest wprawdzie dość potężną, aby imponować państwom drugiego rzędu, jakim jest Turcyja, ale nigdy mierzać się nie może z flottami Anglii lub Francyi; utrzymuje nakoniec, że przyczyny, dla czego wszelkie podstawy kolosu rosyjskiego tak są nadgnięte, jedynie w rosyjskim systemie liverunku i przekupnictwa szukać należy. Twierdzenia te jego zwróciły uwagę, sprzeczano się z nim, ale go nie zbilo. O tatarsko-mohamedańskich osiedleniach na krymie powiada Oliphant, jak następuje:

„Bolesnie jest patrzeć, jak potomków Dżengis-Chana, mieszkańców tych pięknych dolin, codziennie ubywa pod wpływem rządu rosyjskiego. Wpływ ten wywiera tutaj skutki dżumy. W ostatnich latach aż w oczy uderzało, ile Tatarów na Krymie ubyłó. Nie było moru, nie było wojny, nie wypędzano ich z siedlisk rodzinnych, ani sami je opuszczali, a ledwie 100 000 dusz pozostało z tego plemienia! W stosunku ubywania ludności niknie siła jej żywotna i energia. Całe krainy, których ziemia sownie nagradza prace rolnika, i dawniej tyle zboża wydawała, leżą teraz puste; step od północy coraz niżej na południe się posuwa. Fabryki upadają. Znaczniejsze ich rodziny wymierają lub niszczeją. Poborcy podatków i podrzędni urzędnicy wydzierają Tatarowi, bezbronnemu i korzącemu głowę przed losem nieuchronnym, ostatnie mienie. Nie wiele czasu upłynie, a w proch się rozsypią owe domki z płaskimi dachami, ukryte w gęstwinie lasów oliwnych; może za naszych jeszcze czasów złożą w grób ostatniego potomka narodu, który niegdyś tak ważną rolę odgrywał w dziejach świata. Wiemy o Indianach na preriach i pampas Ameryki, którzy mordując się wzajemnie, lub zarażeni wrzodami cywilizacji naszej obumarli, czekają zupełnego wymarcia plemienia swego: a nie wiemy, że to samo dzieje się na Krymie! Może-li i jedyne państwo mohametańskie, w Europie egzystujące, pójdzie koleją Tatarów krymskich i Indianów?”

* **Prezydent rzeczypospolitej Costa Ricca.** *Don Juan Rafael Mora* stoi na czele tej srednio-amerykańskiej rzeczypospolitej, o której w terażniejszych czasach wiele piszą, i gdzie największa część wychodźców niemieckich zdążyła. Mora jest szczupły, małenki, a jego powierzchowność okazuje zamiłowanie pokoju i wygód.

Pomimo mów swoich, pełnych ognia i energii, i występowania dyktatorskiego jest łagodny, uprzejmy, i chociaż usiłuje dać sobie powagę męża stanu podług zakroju europejskiego, nie udaje mu się to żadnym sposobem. Przyczyna jest ta, że jest nie tylko prezydentem rzeczypospolitej, ale oraz i kupcem. Posiada wielkie plantażę kawy i w głównym mieście San José sklep utrzymuje. Dla tego więc, ponieważ także pierwszy minister Corazo wstążkami kupczy i wszyscy urzędnicy jakieś zarobki mają, odpoczywają sprawy państwa nie tylko w niedzielę, ale i w sobotę, jako w dzień targowy, na który z dalekich stron naród tłumnie przybywa. Bióra rządu wtedy zamknięte, a panowie naczelnicy, z łokciem, nożycami i wagami stoją za stołami swojemi. Wczoraj może j. o. prezydent *Don Juan Rafael Mora* w nocie tytułował królowę Anglii „buena amiga“ t. j. dobra przyjaciółko! dziś liczy, mierzy, daje w sklepie swoim najświeższe perkaliki, szkockie materye na spodnie i kamizelki, dla którego kramikarza z prowincyi. Handel w dnie takowe usuwa wszelkie różnice stopni godności. Kramarze, chłopci nie tytułują go nawet owym do wszelkiego stanu osób także używanem *Caballero* albo *Señor*, lecz tylko wołają po prostu: „Don Juanito,” co wychodzi na nasze: „Mój Janie, albo Jasiu.” Ale natem rzecz pospolita wcale nie nie szkodzi, owszem widok świetnej i błogiej przyszłości otwiera się dla *Costa Ricca*.

Przyjechali od dnia 11. do 13. sierpnia do Lwowa:

PP. Nahojewski Antoni, z Czernicy. Gumowski Hieronim, z Jarosławia. Czajkowski Józef, z Bochni. Posturski Józef, z Wojniłowa. Karnicki Feliks, hr. z Roguzna. Zezulka Jan, z Lubaczowa. Szczepański Józef, z Danilez. Szafranski Jan, z Truskawca.

PP. Brunicki Julian, z Podhorec. Kostkiewicz Wacław, z Kałusza. Romanowicz Jan, z Guzikówki. Turezyński Jan, ze Sopotyna. Orłowski Kalikst, z Lissowic. Borkowski Aleksander, hr. z Winniczek. Starzyński Leopold, hr. z Krakowa. Kropiwnicki Jerzy, ze Sambora.

PP. Sokołowski Konstanty, z Ulička. Paygert Stanisław, z Husiatyna. Kluczycki Wincenty, z Podhajec. Polański Aleksander, z Kolbuszowa. Barański Karol, z Radłowie. Górski Jan, ze Stojamiec. Bayer Feliks, z Przemyśla. Kamiński Dyonizy, z Glinian. Kuźmiński Michał, z Mikołajowa.

Wyjechali od dnia 11. do 13. sierpnia ze Lwowa:

PP. Krzczunowicz Piotr, do Kołomyi. Kowalski Kazimierz, do Dunajowa.

PP. Szymanowski Franciszek, do Stanisławowa. Zbrożek Antoni, do Wierzbic. Michalewski Antoni, do Niedzielsk. Winnicki Jan, do Brzeżan.

P. Nowakowski Franciszek, do Złoczowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 12. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	121 1/2.	Medyolan za 300 lirów	119 1/2.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	143 1/2.
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	—	Srebra agio	21.
Genua	—	Pożyczka 5% 85 1/2, 4 1/2	—
Hamburg za 100 tal. banco.	89 1/2.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	1290
Liwurno	—	Kolej północna	1736 1/2.
Londyn za 1 funtszterl.	11. 54.	Obl. ind.	5%.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 39	złr. 5 kr. 44
Dukat cesarski	5 „ 47	5 „ 51
Półimperyal zł. rosyjski	9 „ 57	10 „ —
Rubel srebrny rosyjski	1 „ 55	1 „ 56
Talar pruski	1 „ 50	1 „ 53
Polski kurant i pięciozłotówka	1 „ 23	1 „ 24
Galicyskie listy zastawne za 100 złr.	91 „ 45	92 „ 5
Obligacye indemnizacyjne 78 Złr.	30 kr.	